

Niebieska łotewska

(Gdzie woda w morzu czysta, trawa zielona, a krowy... niebieskie?)

Legenda mówi, że niebieskie krowy, żyjące w morzu, należały do Juras Mate (Matki Morza). Przed wschodem słońca wychodziły czasami na brzeg, by paść się na plażach i nadmorskich wydmach. Kiedyś, podczas strasznego sztormu, zginęła większość rybaków w wiosce. Juras Mate podarowała wtedy niebieskie krowy kobietom, by mogły wykarmić osierocone dzieci.

Worek na Polaków

– Łotwa ma 64 589 kilometrów kwadratowych powierzchni, na statystyczny kilometr kwadratowy przypada statystyczny Polak, czyli Łotysz z polskim pochodzeniem, oprowadzam po Windawie statystyczne pół wycieczki z Polski na rok, bo mniej więcej raz na dwa lata przybywa tu zorganizowana grupa z kraju – żartuje bez przekonania Wiktor Bagiński, prowadząc mnie w kierunku XIII-wiecznego zamku kawalerów mieczowych, najstarszego zachowanego obiektu tego typu w Kurlandii.

Idziemy ulicą Pils, secesyjne fasady kamienic z przełomu XIX i XX wieku przypominają, że nie tak dawno był to główny trakt miasta.

– Nie ma jednego worka na łotewskich Polaków – robi ruch ręką, jakby próbował odgonić jakąś uprzykrzoną myśl – dzielą się na różne kategorie. Do pierwszej należą potomkowie tych, którzy zapuszczali tu korzenie od XVI aż po początek XX wieku. Wrosli w Łotwę, mówią po łotewsku, z pokolenia na pokolenie przekazują polską tradycję i polski język. Są nieuleczalnie chorzy, ich choroba nazywa się: tęsknota za Polską. Wiedzą, że nie wrócą, bo nie mają gdzie ani po co. Druga kategoria to potomkowie sezonowych robotników rolnych. Silni fizycznie i pracowici, ale poziom wykształcenia i inteligencji niski: stanowili tanią siłę, która w okresie międzywojennym szerokim strumieniem płynęła za chlebem z polskiej wsi. Mężczyźni za sezon, gdyby życie brać statystycznie, potrafi li zarobić średnio 563 łaty, kobiety mniej, bo tylko 369, ale i tak przy ówczesnym kursie około dwu złotych za łata było to niezłym zarobkiem. – Wcześniej wspólnie sprawdzaliśmy dane z 1926 roku w roczniku statystycznym. – Łotewski ani w ząb, polski pożał się Boże, kiedy wybuchła wojna, nie mieli jak wrócić, zostało ich prawie 26 tysięcy. Fizycznie tu, ale głową u siebie, w Polsce, wszystko traktowali jako tymczasowe, to przekazali w genach swoim dzieciom. Wierzą w cuda, chcą wracać, tylko kto na nich czeka? Ci z najnowszej, powojennej emigracji, którzy przybyli w okresie postalinowskiej odwilży z polskich Kresów: Białorusi, Ukrainy, o tych nawet szkoda mówić. Nie znają języka łotewskiego, nie znają polskiego, ale są katolikami i uważają się za Polaków. Głową i nogami siedzą w rosyjskim okopie. Nie mają obywatelstwa, o świecie wiedzą tyle, ile im powie Putin: Łotwa jest w zasięgu moskiewskiej propagandy. Ich językiem jest rosyjski, ich Polska nie leży w Polsce, o czym tu rozmawiać? Ani tak, ani tak, czyli nijak.

Mnie tu zna co drugi pies, urodziłem się w Windawie, chodziłem do łotewskiej szkoły – dodaje, zanim zdążyłem spytać, do której kategorii zalicza siebie. – I tu chyba umrę. Ale gdzie zostaną pochowane moje dzieci, nie mam pojęcia: moja córka jest w Holandii (mąż Polak, trójka dzieci), syn mieszka i pracuje w Anglii. Nie muszę być prorokiem?

Gdzie car nie może...

– Jestem, a skoro jestem, to chwała Bogu, musiałem mieć jakichś przodków. Mama urodziła się w 1919 roku w Łatgalii, takie to były czasy, że gdzie, nikt nie pytał. Jeśli chodzi o ojca, mam jego zdjęcie zrobione na Bałkanach, kiedy miał dwa lata. O tym, gdzie tak naprawdę się urodził, dowiedziałem się dopiero w ubiegłym roku, syn odszukał jego metrykę. Wyszło, że w Londynie 29 grudnia 1920 roku. To oczywiście wszystko w pierwszej kolejności wina dziadka, który, jak dzisiaj byśmy powiedzieli, był przedstawicielem handlowym i szukał

nabywców na Bałkanach na maszyny do uprawy roli. Nie dał się przekonać, że rosyjskie kobiety są najpiękniejsze. Z carskim paszportem urzędnik Stefan Jazep Bagieński, związany z jakimś nieokreślonym bliżej departamentem ministerstwa rolnictwa, właściciel pięćdziesięciohektarowej posiadłości w Łatgalii, w okolicach jeziora Łubań, przed I wojną światową pojechał na wystawę rolniczą do Anglii. Tam poznał sekretarkę: pannę Margaret z domu Campbell, pochodzącą ze Szkocji, zatrudnioną w firmie produkującej silniki do traktorów i innych maszyn. Dalej było już bez niespodzianek: najpierw się zakochał, a później ożenił, ślub wziął podobno w 1916 w ambasadzie Wielkiej Brytanii w Petersburgu. Kto dzisiaj wie, jak to naprawdę było? Przed II wojną, a może zaraz po wejściu komunistów dziadek się rozwiódł z babcią, panowało przekonanie, że zabrała mojego ojca i wróciła do Anglii. W rzeczywistości zamieszkała w Rzeżycy, podobno potajemnie prowadzili korespondencję. Dziadek zmarł w 1948 roku, pochowany został na cmentarzu w Nagli. Jeszcze mniej wiadomo o jego ojcu, czyli moim pradziadku, który urodził się w Rzeżycy w witebskiej guberni, jeśli się nie mylę, w 1876 roku. W wieku dwudziestu jeden lat mieszkał w Warszawie przy ulicy Chmielnej 16, zachowały się jego dokumenty. Dwadzieścia lat temu byłem w Warszawie, niby kamienica o numerze 16 stoi, schody stare, drewniane, ale czy przetrwała wojnę, czy odbudowana, kto wie? Inna sprawa, co tam robił? Gdybym był miłośnikiem fantastyki, mógłbym podejrzewać, że studiował medycynę, bo podobno w Rydze, gdzieś, w jakimś muzeum, jest dyplom lekarski na takie nazwisko. A tak – koniec, kropka i tyle.

„Zakryta zona” na końcu świata

– Jeśli chcesz przypomnieć sobie filmy o Aborygenach żyjących w rezerwach – poradził mi Wiktor – to wybierz się na Kolkę.

Sprawdziłem: w 1992 roku rząd łotewski utworzył ściśle chroniony obszar obejmujący 12 wiosek i przylądek Kolka, nazwany Wybrzeżem Liwońskim (coś w rodzaju rezerwatu dla Liwów, czasem nazywanego liwońskim państwem, jako że ma własną flagę o barwach symbolizujących las, piasek plaż, morze – zielono-biało-niebieską, a w szkołach obowiązującym językiem jest liwski). Jak się okazuje, Liwowie stanowią jedną z najmniejszych narodowości świata: podobno (według danych z 2000 roku) na Łotwie żyje 177 osób podających się za Liwów, z nich zaledwie kilka włada językiem liwskim. Pojawili się na tych terenach około 5 tysięcy lat temu, po raz pierwszy określenia „levioni” użył w 76 roku n.e. w zapiskach Rzymianin Pliniusz Młodszy. Sami nazywali siebie „mieszkańcami wybrzeża” (po liwsku raandalist). Spychani na przestrzeni wieków przez plemiona Bałtów, czyli dzisiejszych Łotyszy, dotarli z czasem do miejsca, gdzie kończył się ląd, a zaczynało morze. Na swój koniec świata, czyli na przylądek Kolka. Centrum kulturowe „państwa liwońskiego” znajduje się we wsi Mazirbe, tam każdego roku w pierwszą sobotę sierpnia odbywa się festiwal, na którym przypominane są narodowa liwska muzyka, obrzędy i historia.

Kolka: wystarczy popatrzeć na gonione wiatrem wzdłuż wybrzeża jasnoniebieskie fale Morza Bałtyckiego, naprzeciw którym ruszają spiętrzone ciemnozielone zastępy z (nazywanej tu małym morzem) Zatoki Ryskiej. W miejscu, gdzie fale się zderzają (a podobno linia jest stała, niezależnie od pory roku i pogody), wzlatają w powietrze gejzery morskiej wody, kipi piana, dając wrażenie pokazu magii, spektaklu przygotowanego przez żywioły.

– Kolka to miejsce, gdzie występują różnego rodzaju magnetyczne i przyrodnicze anomalie, tam fizycznie czuć działanie jakichś niezbadanych sił natury – zachęcał mnie Wiktor z pasją rasowego przewodnika. – W czasach sowieckich utworzono tu rejon zamknięty, obowiązywały specjalne przepustki. Brzeg uznano za państwową granicę, wysiedlono część rdzennych mieszkańców, a pozostałych, żyjących głównie z połowów, odcięto od morza: pobyt na plaży był traktowany jako naruszenie granic. W lasach zlokalizowano ściśle tajny obiekt (na miejscu osady Irbene), składający się z trzech potężnych szpiegowskich radioteleskopów. Dwa z tych radioteleskopów ocalały, mimo że zostały przeznaczone do wysadzenia w momencie

opuszczenia Łotwy przez wojsko (średnica czaszy większego to 32 metry, ósmy co do wielkości na świecie). Towarzyszył im zamknięty wojskowy garnizon liczący 3 tysiące mieszkańców z pełnym zapleczem socjalnym, sklepami, kinem, domem kultury, przedszkolami...

Może tak będzie wyglądała ziemia po przejściu kataklizmu: poczerńnięte oczodoły okien w opuszczonych blokowiskach, przewrócone dziecięce huštawki na szkolnym boisku, wyrwane z zawiasów drzwi sklepów, zarastające drzewami osiedlowe drogi. „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się”. Przepisuję z wydawanej w rosyjskim języku codziennej łotewskiej gazety („Sowietskaja Wenta”, poniedziałek 23 lutego 1981 roku, cena 2 kopiejki, wychodzi od 29 czerwca 1940 roku) znalezionej w kącie gościnnego pokoju na czwartym piętrze tego upiornego blokowiska wiersz z tytułowej strony: Partii zadanie – / Naród / Do zwycięstwa prowadzić, / Ogień, zapalony przez Lenina, / Z pokolenia na pokolenie, / Jak sztafeta nieść. (A. Bałodis) [tłumaczenie autora].

Uczucie, jakbym dotknął rozkładającego się trupa.

Co komu pisane...

– Windawa jest naszym najdalej na północ wysuniętym portem przeładunkowym, który nie zamarza zimą. Kiedyś po kilka statków przybijało codziennie do nabrzeży po węgiel, nawozy, ropę, na redzie ustawiała się kolejka. A dzisiaj? Dobrze jeśli dwa, trzy masowce na tydzień wpływają do portowego kanału, inna sprawa, że przy ujściu Wenty powstały nowe terminale i w nich przeładowuje się gaz, ropę, chemikalia. – Pamiętam ten odcień żalu w głosie Wiktora Bagińskiego, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Łotwa walczyła z kryzysem: gospodarka skurczyła się o jedną czwartą, panowało bezrobocie, cięto płace, zmniejszono emerytury, wzrost cen ograniczył ruch turystów w letnich miesiącach zapelniających urokliwe, ciągnące się kilometrami piaszczyste, nieskazitelnie czyste plaże. Windawa mnie urzekła zabudową stanowiącą niezwykle połączenie awangardowej nowoczesnej architektury, z wielką starannością wkomponowanej w otoczenie, i starych, niskich drewnianych domostw. Z jednej strony refleksy światła: płaszczyzny szkła, w których przeglądają się płynące leniwie chmury oraz ruszające na spotkanie morza jachty i potężne samochodowe promy, wyrastające na kilka pięter w górę ponad czerwone dachy starych zabytkowych kamienic. Z drugiej: wąskie, brukowane polnym kamieniem uliczki, przy których przycupnęły stare, drewniane rybackie chaty, ledwie wyczuwalny zapach wędzonych ryb. Urzekła perfekcyjną dbałością o szczegóły i widoczną na każdym kroku organizacyjną zapobiegliwość.

– Mówią, co komu pisane – Wiktor przywołuje ludowe powiedzenie, kiedy pytam dlaczego. – Ojciec skończył polską średnią szkołę w Rzeżycy w 1941 roku, tam poznał moją mamę, która na stałe mieszkała w Dyneburgu, maturalny bal został przerwany: wybuchła wojna, Hitler uderzył na Rosję. Przyszły teść załatwił mu przydział do kolei, pobrali się w 1943 roku. Koniec wojny zastał ich w Kurlandii, ojciec podjął pracę w łączności, dostał mieszkanie w Windawie. I tak sobie całkiem zwyczajnie, po cichu, przyszedł czas na mnie. Przecież nic nie jest tylko dobre albo złe – szuka po kieszeniach zapalniczki – może z wyjątkiem papierosów. Ale po co szukać złego, tych dziur w całym jest wystarczająco dużo.

Zupełnie inna opowieść

– Ta historia bierze początek w Łużkach (dziś teren Białorusi) w czasach carskich, pradziadek miał pięciu chłopaków, nie było dla nich ani ziemi, ani pracy, jednym słowem dali się wciągnąć w komunistyczny spisek i musieli uciekać. Uciekali w kilku grupach, dziadek przez Szwecję do Norwegii, babcia przez Odessę, Niemcy inną drogą... [po przeczytaniu tekstu moja rozmówczyni napisze z dezaprobatą w e-mailu: „Nie mówiłam, że wszyscy bracia zostali wciągnięci do komunistów i że dla nikogo nie było ani ziemi, ani pracy, tylko że siostra dziadka wciągnęła go do tego. Bo jeden z braci ziemię otrzymał (to naturalne), a o reszcie po prostu nic

nie wiem. A babcia pojechała za dziadkiem do Norwegii po prostu, bo go kochała i godziła się na to, czym się zajmował. Zrobił pan z nich całą spiskową rodzinę, beee... :("].

– W każdym razie w Oslo się pobrali, tam urodziło się pierwszych dwoje dzieci i wtedy zakończyła się I wojna światowa, powstała Republika Rad. Dziadek postanowił wracać z Norwegii, moja mama urodziła się w Rostowie, do Łużek, które znalazły się w Polsce, dotarli po 1918 roku. Dziadek wciąż miał sentyment do komunizmu, wierzył w ideę równości i braterstwa tak mocno, że postanowił w 1924 roku osiąść w komunistycznym raju, by w Petersburgu (który wkrótce zamieniono na Leningrad) kształcić swoje dzieci. Bardzo szybko się zniechęcił do kraju rządzonego przez robotników i chłopów, zdecydował się na ucieczkę, ale nie zdążył: 2 stycznia 1926 roku zmarł na serce. Babcia z trójką małych dzieci w Leningradzie przeczekała II wojnę światową, przeżyła blokadę. Waleria, moja mama, wyszła za mąż za oficera marynarki wojennej, Rosjanina urodzonego w Kaliszu, jego ojciec, a mój dziadek ze strony ojca, był carskim inspektorem szkolnym w Polsce. Tak więc urodziłam się 7 października 1945 roku w Leningradzie na święto Matki Bożej Różańcowej – powoli, dobierając starannie słowa snuje swoją opowieść pani Helena, żona Wiktora.

– Co pamiętam z tamtych czasów: drogę z domu do szkoły, drogę z domu do kościoła, śnieg, deszcz. Lato zwykle spędzaliśmy w Łużkach, do Leningradu wracaliśmy na zimę. Kiedy miałam czternaście lat, rodzice się rozwiedli, mama, która z wykształcenia była technikiem kreślarszym, rzuciła wszystko i zamieszkałyśmy w Rydze. Tam wskazano nam kościół Matki Boskiej Bolesnej, wokół którego gromadzili się Polacy. W 1963 roku skończyłam szkołę średnią w Rydze i zdawałam na polonistykę w Wileńskim Instytucie Pedagogicznym. Miejsc było dwadzieścia, zdawało dwadzieścia pięć osób, dwie z zagranicy: koleżanka ze Lwowa i ja, z Rygi, wszyscy zostali przyjęci, studia ukończyło osiemnaście osób. Dziekanem był prof. Włodzimierz Czeczot, kierownikiem katedry prof. Genadiusz Rakitski, panowała prawdziwie rodzinna atmosfera. Równolegle prowadzona była polska grupa na kierunku matematyczno-fizycznym. Zdążyliśmy, mieliśmy szczęście, bo w 1969 zlikwidowano filologię, polonistykę włączono do Wydziału Języków Obcych jako Oddział Języka Polskiego. Odpracowałam studia, wówczas byli na uczelniach pełnomocnicy do spraw zatrudnienia i każdy student otrzymywał nakaz pracy, wróciłam do Rygi. Nigdzie nie chcieli mnie przyjąć, nie należałam do partii, nie miałam rekomendacji Komsomołu, zrobiłam nawet prawo jazdy na trolejbus, w końcu zostałam operatorem w kinie „Tejka” [po łotewsku „Baśń” – przyp. autora]. Tak przepracowałam dziewiętnaście lat.

Parówki i statystyka

W niedzielę o ósmej rano miasto wygląda jak opustoszałe: po ulicach przemykają koty, parkowe fontanny rozpylają w powietrzu wodną mgłę, nad głową krzyczą mewy, jedynie z portu dobiega łoskot uderzających o siebie z siłą, przetaczanych po bocznicach wagonów. Nie ma kogo spytać o drogę, błędę po ulicach, szukając katolickiego kościoła Świętego Krzyża. Na szczęście mam ze sobą mapę miasta.

– Tego komunizmu w Polsce było jak mięsa w parówce, Kościół mógł działać bez przeszkód. Tu było inaczej, ale wciąż obowiązuje stereotyp: Polak – katolik. Dla nich w kościele o godzinie dziewiątej jest odprawiana polska msza – zachęcał mnie Wiktor. – Przed wojną według ksiąg meldunkowych mieszkało w Windawie stu dwudziestu trzech Łotyszów z polskim pochodzeniem, teraz z powojennymi przybyszami jest ich około pięciuset. Zobaczysz tutejszych Polaków na własne oczy.

W ławkach starsze kobiety, znoszone płaszcze, niemodne fryzury, w sumie jakieś osiemdziesiąt osób w wieku powyżej sześćdziesięciu lat. Tylko czterech mężczyzn. Z młodzieży: dziewczyna na oko osiemnastoletnia i nieco starszy chłopak. Cztery osoby w tak zwanym wieku produkcyjnym. Uproszczona statystyka chwili. Modlitwy po polsku, kazanie

po rosyjsku. Proboszcz, w białym habicie paulina, o. Marcin Wirkowski, przybyły jakieś pięć lat temu do Windawy, rozkłada ręce: tych co znają polski, można policzyć na palcach.

– Wniosek końcowy jest taki: ewangelicy, którzy w Kurlandii przeważają, mają około tysiąc dusz, pozostali, czyli prawosławni, katolicy, baptyści łącznie następny tysiąc. Razem niech to będzie dwa tysiące. W Windawie mamy czterdzieści cztery tysiące mieszkańców. Moje pytanie – Wiktor znów sięga po papierosa – jak nazywa się Bóg, który ma władzę nad duszami pozostałych czterdziestu dwóch tysięcy?

Włamywaczka i kowboj

– Skończyłem średnią szkołę i pojechałem do Rygi, by studiować radioelektronikę, ale kiedy się jest młodym, myśli się trochę głupio, studiów nie skończyłem, zacząłem pracować w najnowocześniejszej wówczas w ZSRR fabryce półprzewodników. – Wiktor niechętnie wraca do tamtych czasów. – Polacy trzymali się razem, początkowo były to wspólne działania, chyba nawet pod szyldem Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, później, od 1978, Klubu Przyjaciół Polski „Polonez”, prowadzonego przez Wandę Puke w Domu Kultury Budowniczych. Żonę poznałem na balu maskowym w 1980 roku, była przebrana za włamywaczkę, ja byłem kowbojem. Pobraliśmy się w 1982 roku, dwa lata później dostałem w spadku po ojcu mieszkanie w Windawie. Po jedenastu latach pracy w półprzewodnikach zacząłem wszystko od początku w wytwórni przemysłowych wentylatorów w Windawie. A poza godzinami pracowałem jako instruktor w kółku radiotechnicznym. Na Łotwie kółka zainteresowań: modelarskie, fotograficzne, taneczne nigdy nie przestały działać. W 1988 powstało Towarzystwo Kultury Polskiej w Rydze, 18 lutego następnego roku zorganizowałem pierwsze zebranie Polaków u nas, w Windawie. Później Towarzystwo przekształciło się [w listopadzie 1989 – przyp. autora] w Związek Polaków na Łotwie z Itą Kozakiewicz jako prezesem. Dla niej nie było rzeczy niemożliwych. Jeszcze nie zdążyli dojechać nauczyciele z Polski, a już ruszyła w Rydze szkoła polska, w której przez pierwszy miesiąc zajęcia z języka polskiego prowadziła moja żona, wiadomo było, że bez własnego szkolnictwa, własnych mediów nic się nam tu nie uda. Entuzjazm w Windawie początkowo był bardzo duży, plany też ambitne, zbieraliśmy podpisy, nawet miasto dało nam lokal. Wtedy można było zrobić bardzo wiele, ale jedni się bali, inni chcieli na tym zarobić, bo Polska była jak lufcik na świat, stamtąd szło do nas świeże powietrze. Powstała szkółka języka polskiego, później przekształcona w kółko językowe dla dzieci w Domu Twórczości Młodzieży. Ale Polska szybko straciła swoją atrakcyjność, zainteresowania rodziców i młodzieży poszły w kierunku Anglii, Włoch, Irlandii... Zmniejszała się liczba dzieci, zwiększały wymagania, upadały kolejne firmy, zaczynało się bezrobocie. Przyszedł długo wyczekiwany kapitalizm, a z nim Unia Europejska.

Parada krów w Windawie

Krowy! Wiosną 2002 Windawa zmieniła się w niezwykle śródmiejskie pastwisko. Położone w samym sercu miasta, ograniczone z jednej strony portowym kanałem, z drugiej szarym blokowiskiem z lat sześćdziesiątych. Dwadzieścia sześć rzeźb, nawiązujących do wyobrażenia krowy, stworzonych przez najwybitniejszych współczesnych artystów z różnych krajów, wzięło udział w Ventspils Cow Parade. Z tamtych czasów zostało ich siedem: krowa podróżnik przypominająca walizkę oblepioną nalepkami hoteli – wysoka na 4 metry i długa na 7, krowa pompa na portowym nadbrzeżu z wbudowanym zaworem z przepompowni, krowa majtek w marynarskiej czapeczce i koszulce w pasy... ale z każdym rokiem kolekcja niezwykle krów rośnie. Miasto odwołuje się do legendy, chociaż „krowa łotewska niebieska” to rasa jak najbardziej realna (*latvijas zilā* po łot. albo ang. *latvian blue*), niezwykle odporna na warunki klimatyczne i choroby, uważana za unikalną ze względu na niebieskie ubarwienie. Uważa się, że wyhodowali ją około XII wieku Liwowie, którzy w tamtych czasach zamieszkiwali około 70% obszaru dzisiejszej Łotwy. W latach dziewięćdziesiątych po upadku

Związku Radzieckiego niektórzy z badaczy zaczęli uważać rasę za całkowicie wymarłą, ale udało się odnaleźć kilka osobników i odtworzyć stado: dziś niebieską krowę hoduje się w specjalistycznych gospodarstwach, stała się turystyczną atrakcją. I tak jak uratowano język liwski i kulturę pierwszych mieszkańców tych ziem, tak udało się uchronić przed wymarciem rasę niebieskich krów. W tym roku Windawa wróciła do pomysłu sprzed dziesięciu lat: zaproszono najwybitniejszych twórców z całego świata do udziału w rzeźbiarskim plenerze.

– Znów w mieście przybędzie krów, Windawa, mimo że żyje z portu, postawiła na turystów, jak każde z hanzeatyckich miast ma swoją długą historię i zabytki. – Wiktor zwraca moją uwagę na osobliwości architektury, niezwykle fontanny, największą na świecie ekspozycję okrętowych kotwic w parku, po którym kursuje wąskotorowa kolejka z 1916 roku, prowadzi promenadę wybiegającą daleko w morze do morskiej latarni, opowiada o miejscach zabaw dla dzieci, wiosce przygotowań olimpijskich, bibliotekach, salach koncertowych... – Trzeba być dwa kroki przed konkurencją. Ważne, by turyści wyjeżdżając wierzyli, że niebieska krowa, którą tu zobaczyli, przyniesie im szczęście.

FRAGMENT

Wojciech Pestka *Gdyby Polacy nie byli Polakami*